5.

ADAM GÓRECKI
Kielce, Jasna 33.

ADAM GÓRECKI
Kielce, Jasna 33.

PRZED ŚNIADANIEM

komedya w 1 akcie prozą

przez

JANA ALEKSANDRA hr. FREDRĘ.

ADAM GÓRECKI
Kielce, Jasna 33.

WE LWOWIE 1877.
Nakładem księgarni Wł. Bełzy
(w hotelu George'a).

OSOBY.

FRANIO.
AMELKA.
PANI DORSKA.
JAN, służący.

Rzecz dzieje się na wsi.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

100109

ADAM GÓRECKI
Kielce, Jasna 38.

(Teatr przedstawia ogród. W głębi na prawo widać skrzydło wiejskiego dworku, który się kończy nizką terasą. Z niej parę schodów prowadzi prawie w środku sceny do ogrodu. Na terasie stół, drewniana kanapka, parę krzeseł. Po lewej trochę bliżej widzów mały pawilon, do którego kilka schodów i drzwi prowadzą. Na przodzie, na prawo pod drzewem ogrodowa ławka, przed nią mały okrągły stolik).

SCENA I.

FRANIO *(sam).*

FRANIO *(młodo ubrany, kołnierzyki wyłożone, chustka lekko zawiązana, bez wąsów ni brody, wychodzi z pawilonu).*

FRANIO.

Oka z radości zmrużyć nie mogłem. — Maturę zdałem. Kraków, książki, profesorowie za mną daleko! Na dwa miesiące jestem wolnym! — Ach, jakże się tu na wsi dobrze, szeroko piersią oddycha! Co za powietrze, co za słońce! — W istocie, zdawałoby się, że inne jak to, które przebrzydłe mury miasta oświeca. *(Oglądając się).* Tutaj widzę nic się od trzech lat nie zmieniło, — tylko krzewia znacznie podrosły. Pamiętam, jak się dawniej w tych kląbach chowaliśmy z Amelką. Nie zapomniałem też o niej. — Przywożę jej prześliczną lalkę z prawdziwemi włosami, i oczami, które się ruszają. — Przyznać muszę, że mi trochę wstyd było, w sklepie

zażądać lalki, lecz wybrałem na to szarą godzinę, nim jeszcze gaz zaświecili; prędko kupiłem, przyniosłem pod płaszczem do domu i szust do kuferka na sam spód między bieliznę. Chwilkę później nadeszli koledzy i byli obecni, gdy się pakowałem. Żadnemu nawet na myśl nie przyszło, że pod płaszczem Almawiwa którego mi tak zazdrościli, pod bótami z ostrogami, leży co? Lalka! Piękna rzecz, gdyby mnie z nią byli zastali. Ileż to żarcików, drwinek, przezwisk! *(naśladując ich).* „Proszę cię, przedstaw mnie swojej kochance“. „Na kiedy zaręczyny?“ — „Czyście poszaleli, wszak on mężatkę uwodzi“. Brrr.... Dreszcz mnie przechodzi. *(Z rozwagą).* Jakto nieraz reputacya człowieka na włosku wisi! *(p. k. m.)* No, szczęściem że się udało; za to Amelka jak pąs stanie i oczy jej się zaświecą, gdy lalkę zobaczy. — Drugi raz tego jednak nie zrobię. *(Przechadzając się).* Kochana Ciocia podobno teraz dłużej sypia niż dawniej, prosiłem ludzi, żeby jej nic nie mówili, że tej nocy przyjechałem. Dopiero gdy wyjdzie na terassę i sakramentalne wyrzecze słowa: „Janie, dawaj śniadanie!“ stanę przed nią jak Deus ex machina. Jakże się ucieszy! Ciekawy tylko jestem, czy mnie pozna? Co o wąsach powie? *(Dobywa z kieszeni małą szczoteczkę ze zwierciadełkiem, przypatruje się, potem sobie szczotką po pod nos przechodzi jak gdyby wąsy gładził i znowu w zwierciadło spogląda, p. k. m.)* Dziwna rzecz, z lewej strony rzadsze *(chowa szczoteczkę do kieszeni).* Teraz więc świat rozkoszy, o którym tyle nad książką marzyłem, stoi przedemną otworem! Miłość, konie, polowania... Wszystkie szczęścia razem!

(Przybierając minę sztywną). Tylko nie okazujmy zbytniej radości; trzeba pamiętać, że jestem mężczyzną. *(p. k. m.)* Główna rzecz miłość. Ułóżmy zatem naprzód plan kampanii. — Okolica w piękne kobiety bogata. Od której zacząć? *(p. k. m.)* W Stebnowie ma być ładna żona notaryusza. To bagatela. Przejadę się parę razy konno po pod jej okna, ona się zadziwi, męża pewno nigdy na koniu nie widziała, będzie ciekawą wiedzieć kto jestem? Konia zepnę, ona się przelęknie, wypuszczę, zwrócę, na miejscu osadzę i rzecz skończona. Nic łatwiejszego. *(p. k. m.)* W Borowej Woli jest trzy panien, zobaczymy; lecz tam będą zaraz myśleć że się chcę żenić... Z resztą nie jest to jeszcze to, czego ja chcę. Mnie wypadałoby coś takiego zrobić, żeby się od razu w opinii świata postawić, żeby ta wieść i po Krakowie i po Lwowie piorunem runęła, żeby nawet w resursie o tém mówiono. *(p. k. m.)* Ale cóżby to wymyśléć? Wykraść którą? Gdzież ją zawiozę? Zamku swego nie mam, pieniędzy na podróż także nie mam. Trzeba temu dać spokój. *(p. k. m.)* Gdyby jaki pożar! Mógłbym kochankę z płomieni wyratować... Lecz z kądże go tu wziąść? Sam przecie domu podpalić nie mogę. *(p. k. m.)* Ha! już wiem, nasz sąsiad... Jakże się nazywa... no... ten agronom... co piękne bydło chowa... ma żonę młodą, ładną... wyzwę go na szpady!...

SCENA II.

AMELKA — FRANIO.

AMELKA *(wbiega z prawej strony w głębi, niewidząc Frania).*

Franio przyjechał! Gdzież jest? *(spostrzega go)* A...

FRANIO *(spostrzega ją).*

A...

AMELKA *(zmięszana).*

Przepraszam... myślałam...

FRANIO *(trochę zmięszany).*

Przepraszam...

AMELKA.

Pan Franciszek przyjechał...

FRANIO.

Przyjechałem dziś w nocy... *(na stronie)* Kto to taki?

AMELKA.

Ciocia śpi jeszcze.

FRANIO *(na stronie).*

Amelka! *(głośno)* Ja panny Amelki niepoznałem.

AMELKA.

O! ja Pana Franciszka od razu poznałam, ale się nie spodziewałam...

FRANIO *(prostując się).*

Tak, nie prawda? Wiek człowieka zmienia. *(na stronie)* Bardzo ładna — lalkę spalę. *(głośno)* Ale i panna Amelka wyrosła.

AMELKA.

Wiem, wiem, jeszcze wczoraj zakładkę u sukni spuściłam.

FRANIO *(na stronie).*

Dziecko!

AMELKA.

Mnie się jednak zdaje, że jestem zawsze tą samą Amelką. Żebyś Pan wiedział, jak my się tu wszyscy Pana przyjazdem cieszyli.

FRANIO *(na stronie).*

Dziecko, ale ładne dziecko; pokażmy się od razu. *(głośno)* Jam także kontent, że wypocznę czas jakiś z gwaru wielkiego miasta. Zresztą u nas w Krakowie teraz pusto, wszyscy się po wsiach porozjeżdżali. Nie ma zupełnie domów, salony pozamykane. Człowiek prawdziwie nie wie, gdzie wieczór dostać filiżankę herbaty.

AMELKA.

Doprawdy? W Krakowie tak trudno o herbatę? My tu mamy doskonałą.

FRANIO *(z uśmiechem politowania).*

Dosłownie tego brać nie trzeba. Rozumiem pod tém, że to jest pora roku, w któréj całe towarzystwo opuszcza miasto. *La morte saison.* Dopiero za dwa, trzy miesiące zaczną się zjeżdżać.

AMELKA.

Wtedy będzie wesoło.

FRANIO.

Jak dla kogo. Przyznam się, że mnie to wszystko już nie bawi.

AMELKA.

Ale karnawał!

FRANIO.

Ach, o tem niech mi panna Amelka nie wspomina. Nie znam nic żmudniejszego jak te bale. Ścisk, gorąco, po nogach depczą; a te tańce, prawdziwa pańszczyzna. — Właśnie na ostatnim stud... publicznym balu, gdzie byłem jednym z gospodarzy, mówiłem Pani Leonowej z którą tańcowałem, że chciałbym już przestać tańczyć, lecz nie robię tego po części dla towarzystwa, po części, ażeby nie myślano że się w starego bawię.

AMELKA.

Ach, ja tak lubiałabym tańcować!

FRANIO.

Zupełnie się temu nie dziwię. Najprzód panna Amelka nie użyłaś tego, powtóre jesteś znacznie młodszą.

AMELKA.

Zdaje mi się, że to nie sprzykrzyłoby mi się nigdy.

FRANIO.

I jak się sprzykrzy!

AMELKA.

Pamiętasz Pan, jak doskonale bawiliśmy się trzy lata temu na Cioci imieninach. Pozwolono nam tańcować do jedenastej. Pan Profesor grał na for-

tepianie... *(na słowo: profesor, Franio się chmurzy, jak na niemiłe wspomnienie)* pan ze mną wciąż tańcowałeś i w mazurze upadłeś *(śmieje się).*

FRANIO *(urażony).*

Byliśmy dziećmi. Nie mówmy lepiej o tém.

AMELKA.

Tak jest, mówmy raczej o tem, co nas teraz czeka. Już cały plan ułożyłam. Zobaczysz Pan, jak się będziemy bawić. Tylko mi dzień na wszystko nie wystarcza. Najprzód trzeba wstać bardzo rano...

FRANIO.

O przeciwko temu protestuję. Ja lubię długo sypiać, i tylko dla jednego polowania...

AMELKA.

Dobrzo więc, wstaniemy o 7méj i zaraz wyjdziemy na spacer; co dzień gdzieindziéj. Mamy tu prześliczne spacery.

FRANIO.

Właściwie, nie jestem wielkim amatorem spaceru. Po co pytam się chodzić parę godzin bez celu, ażeby wreszcie wrócić do tego samego miejsca, zkąd się wyszło, z tą jedną różnicą, że zamiast być świeżym i wypoczętym, jest się zgrzanym i zmęczonym.

AMELKA.

Ależ my sobie zawsze jakiś cel znajdziemy. Ciocia bardzo lubi mieć świeże kwiaty na stole przy

śniadaniu. Będziemy więc codzień po bukiecie polnych kwiatów dla niej zbierali, a za naszym powrotem, ona osądzi, czyj piękniejszy?

FRANIO *(ironicznie).*

W istocie, niewinna zabawka. — Nie, ja o piękność bukietu konkurować nie będę i pierwszeństwo zupełnie pannie Amelce odstępuję. Niezwykłem kwiatami się bawić.

AMELKA.

Dlaczego? Czyż może być coś piękniejszego od kwiatków. Zresztą nie wszystko jeszcze powiedziałam, i chociaż to miało być niespodzianką, — wydam tajemnicę. Na tych spacerach nie będziemy sami. — Będziemy mieli kogoś ze sobą. — Nic Pan nie zgadujesz? — Więc powiem. — Ułaskawiłam dla Pana prześlicznego, białego baranka!

FRANIO *(parska śmiechem).*

A na honor, to prawdziwa sielanka!

AMELKA *(smutna).*

Myślałam, że Panu tém wielką przyjemność zrobię.

FRANIO.

Mnie podobne dzieciństwa od dawna z głowy wywietrzały. Teraz lubię tylko konie, polowanie i kobie... i balet. Jedynie te trzy rzeczy zdołają mnie jeszcze rozerwać. — Ale, a propos koni, w jakimże stanie znajduje się teraz Cioci stajnia? Pewnie

w złym. Założyłbym się, że słupki nie pooplatane słomą, uździennice bez gałek. Antiquo more. Muszę to wkrótce zreformować. Jakież ma Ciocia konie?

AMELKA *(coraz smutniejsza).*

Czyż Pan nie pamiętasz naszych czterech szpakowatych klaczek?

FRANIO.

Co, te stare klacze jeszcze żyją? I wy niemi jeździcie? Może i stary półkryty koczyk dotąd istnieje? Winszuję, piękny ma Ciocia ekwipaż; ja się nim pewnie w sąsiedztwie nie pokażę.

AMELKA.

Ciocia boi się innemi końmi jeździć; zresztą nasze poczciwe klaczki jeszcze doskonale wyglądają, gdy stary Kasper niemi galopkiem zajeżdża...

FRANIO.

Galopkiem! Czy kto kiedy coś podobnego słyszał! Zaprzężne konie galopkiem! Hatałaj, hatałaj! Do tego brakowałoby tylko jeszcze kilkoro źrebiąt z dzwonkami!

AMELKA.

A jest ich troje.

FRANIO *(z komiczną desperacyą).*

Są! Są! A co, nie mówiłem! Troje!

AMELKA.

Ależ one śliczne...

FRANIO.

Co tam śliczne! Któż na świecie dotąd jeździ ze źrebiętami za pojazdem! To rzecz niesłychana, niewidziana! I cóż tam więcéj jest oprócz tego?

AMELKA.

Jest jeszcze młody, gniady koń, którego Ciocia dla Pana kazała wziąć ze stada.

FRANIO *(pogardliwie).*

Arab?

AMELKA.

Bardzo ładny konik. Stary Kasper go ujeżdża.

FRANIO *(ironicznie).*

Stary Kasper! a to mi tęgi trener. Wszakże on o angielskiem jeżdżeniu wyobrażenia nie ma. Pewnie konia na zadzie osadza, szyję mu wyłamuje, — gdy u nas przeciwnie: wszystko na przodzie, — szyja prosta, — długa, — wyciągnięta... Czyż się godzi takiemu głupcowi...

AMELKA.

Panie Franciszku, jakże możesz takiego wyrazu używać, mówiąc o Kasprze. Przecież on Cię pierwszy na konia wsadzał.

FRANIO *(trochę zmięszany).*

Prawda... ale malca na koniu utrzymać nie wielka sztuka, to jeszcze nie dowodzi... Zresztą dajmy stajni pokój, ja to inaczej urządzę... *(z fan-*

faronadą) Ale powiedz mi panna Amelka, jaką tam macie piwnicę, bo ja bez wina...

AMELKA.

My wina nie pijamy, ale wiem, że Ciocia jakieś wino sprowadziła.

FRANIO.

To dobrze, bo ja piję, bardzo duże piję... Dwa razy się nawet upiłem, pomimo że mam diable mocną głowę. Raz, jakby dziś pamiętam, wypiliśmy wazkę ponczu, drugi raz...

AMELKA.

O Boże, Boże, co też Ciocia o tém powie?

FRANIO *(przestraszony).*

Ciocia? *(miarkując się)* No, cóżby wreszcie miała powiedzieć? Czyż nie zdałem matury?

AMELKA.

Tak, ale...

FRANIO.

Kobietom się to zawsze strasznem wydaje, co dla nas mężczyzn jest życiem codziennem. Wesołe śniadanie, obiad, kolacya, korki strzelają, szkło brzęczy, wino się leje... Tak od rana do nocy, od nocy do rana. To mi życie!

AMELKA *(bardzo smutna).*

Takiego Pan u nas nie znajdziesz; a to, które my dać możemy, jak widzę Panu się nie podoba. —

Jednak proszę Pana, nie okazuj tego Cioci, bo ona tylko w téj myśli pracuje, że to dla Pana, i wtedy tylko się cieszy, gdy Mu przyjemność zrobić może.

FRANIO *(rozczulony).*

Poczciwa, kochana Ciocia! *(przybierając znowu ton sztywny)* Bądź Panna Amelka zupełnie o to spokojną; wiem, jak się mam zachować.

AMELKA.

Jeszcze jedną mam prośbę.—Ciocia chce Panu tym koniem niespodziankę zrobić, niech Pan udaje, że Pan nic o tém nie wie.

FRANIO *(z powagą).*

Nie zawiodę położonego we mnie zaufania, gdyż umiem zachować tajemnicę. *(z dumą)* Gdy się stryjeczny brat szwagra jednego z moich koleg... przyjaciół z rotmistrzem od dragonów miał rąbać, wiedziałem o tem...

AMELKA.

I nie przeszkodziłeś Pan temu?

FRANIO.

Ja? Za kogo mnie Panna Amelka masz? Sprawa honorowa rzecz święta. Gdzie jest obraza, krew płynąć musi. Ona jedna plamę na honorze zmyć może, i nikt wtedy niema prawa w tę rzecz się wdawać, wyjąwszy sekundantów, których jest obowiązkiem zrobić zgodę niemożliwą. Gdyby mnie się byli poradzili, oba byliby trupem polegli. Oni zaś dali sobie

rendez-vous na Bielanach, przyjechali tam do dnia, dobyli z pojazdu pałaszy, (*zapalając się*) zdjęli surduty, stanęli naprzeciwko siebie, (*staje en garde*) i gdy trzeba było kłuć i rąbać na śmierć... (*wymachuje ręką, jak gdyby się fechtował, idąc na Amelkę, która się cofa przestraszona*).

AMELKA.

Cóż?

FRANIO (*ostygając nagle z zapału*).

Pogodzili się.

AMELKA.

Ach, jak to dobrze!

FRANIO.

Pheu!! Ze mną inaczej byłaby się rzecz miała. Zgody nie rozumiem, nie przypuszczam. Pif, paf, i rzecz skończona.

AMELKA (*na stronie*).

To człowiek straszny!

FRANIO (*kontent z wrażenia, które zrobił*).

Lecz nie chę panny Amelki daremnie straszyć.— Słyszałem, że tu są błota, — bekasy, — kaczki... Przywiozłem ze sobą amunicyję, mam kul cztery tuziny, bo kto wie, z czém się czasem spotkać można. Zanim się Ciocia obudzi, przygotuję sobie to wszystko, gdyż radbym dziś jeszcze rozpocząć polowanie. Zatem kłaniam. (*Kłania się z lekka i odchodzi do pawilonu pogwizdując nótę: „Wśród opok i jarów“*).

SCENA III.

AMELKA *(sama).*

O Boże, Boże! Cóż to się z niego zrobiło! Śniadania, kule, pojedynki, wazka ponczu! To okropne! On dawniej taki łagodny, taki grzeczny! Mnie się na płacz zbiera. *(płacze)* Ja się jego przyjazdem tak cieszyłam, tak go wyglądałam! Tak piękne projekta porobiłam! Ja go tak... *(płacze)* Parę tygodni temu siedziałem z robótką w małym gabineciku Ciocia z panią Pytlewiczową mówiły w drugim pokoju. Drzwi były odchylone. Przypadkiem słyszałam, jak Ciocia mówiła: „Gdy Franio zupełnie nauki ukończy, sprowadzę go tu na wieś. Niechaj chłopiec pracuje, niech się pod mojém okiem wprawia do gospodarstwa. Później go ożenię.“ Dalej, rozmawiały ciszej, ale wyraźnie słyszałam jak Pytlewiczowa moje imię wymówiła. Coś mnie okropnie za serce scisnęło, w oczach mi się zaćmiło, ale to było przyjemne, i od téj chwili już tylko wciąż o Franiu myślałam. *(p. k. m.)* A teraz, o Boże, Boże! pojedynki, wazka ponczu! *(płacze)* On może nałogowy? *(z przestrachem)* Może już kogo zabił! *(tragicznie)* Żoną być zabójcy! — Nigdy! — Wszystko więc stracone, i ja... ja... *(szlochając)* jego żoną już nie będę! *(kładąc rękę na sercu)* Ach, jakże mnie tu ciśnie! *(p. k. m.)* Gdyby przynajmniej wiedział, jaką mi przykrość zrobił — Ale nie, on taki światowy, śmiałby się może ze mnie. Umarłabym ze wstydu. — Wszak niedawno czytałam w historyi rzymskiej, że Lukrecja się zabiła bo jéj Sextus swą miłość niegrzecznie wynurzył. Cóż dopiero być

wyśmianą, wzgardzoną! O nie, nie, raczej umrzéć! Będę go unikała, nie spojrzę na niego, i... i... nigdy za mąż nie pójdę. *(odchodzi na prawo płacząc).*

SCENA IV.

FRANIO *(sam).*

(Wychodzi z pawilonu trzymając w ręku strzelbę i wielką, nową torbę myśliwską).

FRANIO.

Jakże duszno w pokoju! Wolę sobie tutaj porobić ładunki. *(oglądając się)* A, już jej niema. *(idzie do małego stolika na prawo, strzelbę opiera o drzewo, torbę rozkłada na stoliku tak, żeby jej pas po jego stronie trochę ze stolika wisiał).* Tak, tutaj mój warsztat myśliwski założę. *(wyjmuje z torby blaszane ładunki, rożek, pulwersak i pakuły).* I to się kobietom podoba Te przygotowania mają w sobie coś rycerskiego. Bierzmy się do roboty. *(robiąc ładunki)* Mało dawać prochu... nie, — dużo dawać prochu, mało szrótu, w tém sekret. — Myślałem, że ją tu jeszcze zastanę. — Gdzież szrót podziałem? Aha! Właściwie dlaczego mało szrótu? Mówią, że gdy go dać za wiele, strzelba trąca, lecz z drugiej strony, słyszałem od starego myśliwego przysłowie: „Garścią syp, garścią zbieraj.“ Sypmy więc, a trąci, mniejsza o to. *(p. k. m.)* Nie do uwierzenia, jak się te dziewczęta zmieniają. Ta mała Amelka, to dziecko, wyrosła, wyładniała; wcale, wcale przystojna dziewczyna z niej się zrobiła. *(sypiąc szrót do ładunku)* Trąci, niechaj trąca, byle rezultat był dobry. *(p. k m.)* Muszę sobie przyznać, że kontent

z siebie jestem. Widoczne na niej wrażenie zrobiłem. Zadziwiłem ją, olśniłem, nawet... prochu przesadziłem... trochę ją przestraszyłem. Nic to nie szkodzi. Paul de Kock gdzieś powiada, że u kobiet... nabój gotów... tylko jeden krok od bojaźni do miłości. *(p. k. m)* Jakie to jeszcze naiwne! Spodziewała się we mnie znaleść... szrót bekasi... *(wybiera ziarnka)* tego samego Frania który się z nią dawniej bawił, a zastała... zły pakuł... *(odrzuca go)* ukończonego mężczyznę. *(p. k. m.)* Ładny ma uśmiech, — i ząbki ma ładne. *(opuszcza ładunek)* Bodaj cię djabli wzięli! — *(podnosi go)* Z jaką radością do mnie wybiegła. — Figurka zgrabna, nóżka... Nóżki nie widziałem, musi mieć ładną nóżkę. *(mówiąc to trzyma w lewej ręce ładunek, prawą sypie proch z rożku obok na stół)* Gdy mnie zobaczyła, zmieszała się, zarumieniła, oczka spuściła na dół.. *(spostrzega się, że wszystek proch wysypał)* Cóż ja u licha robię! *(chce zgartywać)* Czem by go tu zgarnąć *(szuka czegoś w torbie, powoli się zamyśla)* Śliczne ma oczy. *(odchodzi od stolika)* W niéj całej jest coś, niewiem co, ale coś prawdziwie uroczego. *(stopniowo się rozczula)* Tak, widać w niej było radość. Twarzyczkę miała rozpromienioną. Jak ciekawie przysłuchiwała się temu, co mówiłem, jak się temi dużemi, niebieskiemi oczami we mnie wpatrywała. Jej usteczka tak pięknie się uśmiechały, *(p k. m.)* Lecz potem posmutniała, na końcu zdawało mi się nawet widzieć jakby łezkę w oku. *(z gniewem)* Głupi! Zmartwiłem ją! Nie dosyć serdecznie się z nią przywitałem; krytykowałem wszystko, prawdziwie byłem rubasznym. *(rozczulając się)* A ona, taka dobra,

taka miła zapomniała o sobie, by tylko o Ciotce pamiętać! Z jaką anielską dobrocią wymówiła te słowa: „Jednak proszę Pana nie okazuj tego Cioci“... Prosiła mnie, a ja na to nie zważałem, jednego dobrego słowa dla niej nie znalazłem. Biedne, poczciwe serduszko! Uraziłem je, zdeptałem. *(zaciskając pięści)* Bodajżebym... *(zapalając się coraz bardziej na przemian z gniewem lub rozczu'eniem)* A przecież ja ją kocham; krew, życie oddałbym za nią! *(p. k. m.)* I nie dość na tem, nie dość, że byłem niedobrym, zimnym, obojętnym, musiałem ją jeszcze przestraszyć! Z drżeniem, jakby błagając złożyła cudne rączęta, a ja, który powinienem być jej opieką, tarczą, rycerzem, uciechę w tem znalazłem. To niegodnie! Serce dałbym sobie wypruć, żebym tego nie był zrobił. — *(p. k. m.)* Czyż takiem powinno było być nasze przywitanie? Wtedy, gdy ona do mnie wybiegła, nie byłoż mnie skoczyć ku niej? Serca nasze byłyby się od razu zrozumiały. — *(Z wzrastającym zapałem coraz prędzej)* Ona byłaby się zatrzymała ja byłbym ją chwycił za ręce; ona byłaby się opierała, ja byłbym ją przyciągnął do siebie; ona byłaby usiadła, ja byłbym ukląkł przed nią; ona byłaby rączką oczy zakryła, ja byłbym drugą całował, ona byłaby się wzbraniała ja byłbym ją o wyznanie miłości błagał; ona byłaby się ku mnie pochyliła, ja byłbym z jej ust usłysłyszał:

„Czy Amalja Cię kocha? Mój drogi, mój miły!
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły!“

Biegnę, lecę, padnę jej do nóg, powiem że to był szał! Niech tu przyjdzie! Zobaczy, że ją kocham, ubóstwiam, że bez niej żyć nie mogę!

Amaljo! droga, kochana Amaljo! *(odwraca się i chce biegnąć na prawo do ogrodu. Gdy ostatnie słowo wymawia, Amelka zamyślona pokazuje się w głębi na prawo sceny tak, jak gdyby szła z ogrodu ku terassie. Usłyszawszy ostatnie słowo, zatrzymuje się ze spuszczonemi oczyma).*

SCENA V.

AMELKA — FRANIO

AMELKA *(zimno)*

Pan do mnie mówiłeś?

FRANIO *(zatrzymuje się i miesza).*

Ja? To jest nie... właściwie tak... mówiłem... Pani... Pani wracasz ze spaceru?...

AMELKA *(na stronie)*

Pani? *(głośno)* Chodziłam trochę po ogrodzie.

FRANIO

Chciałem... Dziś bardzo pięknie...

AMELKA.

Później będzie gorąco.

FRANIO

Gorąco, a tak... tak... gorąco... już teraz... uf... *(na stronie)* Żeby jedna myśl!

AMELKA *(wciąż ze spuszczonemi oczyma).*

Ciocia wkrótce się obudzi...

FRANIO.

O pewnie się obudzi... *(Amelka patrzy na niego zdziwiona, on się miesza coraz bardziej)* To

jest, ja myślę... czemużby nie miała się obudzić... bo zwykle po nocy dzień się robi... ludzie się budzą... więc może i Ciocia z nocy dzień zrobi... *(Amelka parska śmiechem.—On na stronie)* Ona się śmieje!

AMELKA *(odwracając się by śmiech ukryć).*

Godzina śniadania nadchodzi, muszę pójść robić herbatę. *(Robi parę kroków ku terassie).*

FRANIO *(za nią składając ręce).*

Pani! *(Amelka się zatrzymuje i powoli wraca)* Ja miałbym Pani tyle do powiedzenia... ja chciałbym pani powiedzieć, że... że prosiłem starego Jana, żeby Cioci nic nie mówiono... prosiłem starego Jana... *(na stronie)* Ani rusz!

AMELKA.

Żeby?

FRANIO.

Nic, nic,—nie to chciałem powiedzieć, lecz że... że się z Panią nie przywitałem.

AMELKA

Jakto?

FRANIO.

To jest przywitałem się, ale nie tak, jak przywitanie...

AMELKA.

Zrozumieć nie mogę...

FRANIO.

Przecież to jasne: przywitanie między nami nie jest przywitaniem takiem, jakiem przywitanie...

(na stronie) Brnę coraz więcej. *(głośno)* Chciej mnie Pani tylko chwilkę posłuchać, zaraz mnie Pani zrozumiesz. — Oto na przykład tak: wyobraź sobie Pani że jesteś fortecą, a ja nieprzyjcielskim jenerałem...

AMELKA *(urażona).*

Pan chcesz się ze mną w żołnierza bawić? Przepraszam, te czasy minęły. Nie jestem już tak małą...

FRANIO

Ależ to metafora!...

AMELKA.

Ja tej gry nieznam i bawić się nie będę.

FRANIO.

Lecz pozwól Pani...

AMELKA.

Niechcę, niechcę i nie będę. Proszę mi nawet i nie mówić o tem. *(robi parę kroków ku terassie).*

FRANIO.

Dobrze więc, ale... może poszlibyśmy zobaczyć baranka?

AMELKA *(wracając z radością).*

Chciałbyś widzieć... *(miarkując się)* O nie, Pana to nudzi, niechcę jego grzeczności nadużywać.

FRANIO.

Nadużywać! Wcale nie, prawdziwie, na honor,— w pierwszej chwili... zdawało mi się... ale roz-

myślałem, pomiarkowałem, przekonałem się, że bardzo, bardzo lubię baranki.

AMELKA *(na stronie).*

Może on sobie ze mnie żartuje? *(głośno)* Wszakże dopiero Pan mówiłeś, że to dziecinne, śmiałeś się Pan z tego i w samej rzeczy miałeś Pan zupełną słuszność. Dajmy temu pokój.

FRANIO.

Więc chodźmy na spacer.

AMELKA.

Zmęczyłbyś się Pan daremnie, a ja właśnie ztamtąd wracam.

FRANIO *(z zapałem).*

Ja miałbym się zmęczyć przy... przy tak pięknym poranku, gdy słońce grzeje jak księżyc! Czyż może być coś przyjemniejszego, jak chodzić razem po brzegu drzew, w cieniu strumyka... *(Amelka parska śmiechem)* Pani się znowu śmiejesz, bo nie wiesz, ile ja cierpię, przez jakie męczarnie przechodzę! Nie wiesz. co to jest mieć serce przepełnione, a nie módz słowa wymówić.

AMELKA.

Ja Pana nierozumiem.

FRANIO *(ze złością).*

Albo mnie Pani niechcesz zrozumieć, niechcesz odgadnąć tego słowa...

AMELKA.

Ależ jakiego słowa?

FRANIO.

Słowa, od którego moje życie zawisło, które mnie pali, serce mi w głowie zamąca, myśli wirem w piersiach rozsadza!

AMELKA *(na stronie).*

Ja się bać zaczynam.

FRANIO.

O! mnie rozpacz porywa! Czuję że oszaleję, albo się zabiję, a przecież tego słowa wymówić nie zdołam! Pani! *(robi krok ku niej, ona się cofa przelękniona).*

AMELKA *(na stronie)*

Ja ucieknę, on szaleje.

FRANIO.

Dłużej niewytrzymam. *(chwilkę zdaje się ze sobą walczyć, potem puszcza się ku niej krzycząc, jakby na stronie)* Śmiało!... Drogi Aniele!

AMELKA.

O Boże! On oszalał! *(ucieka na prawo w głąb).*

SCENA VI.

FRANIO *(sam)*

(pobiegłszy parę kroków za nią staje).

Uciekła! Wyśmiała mnie i uciekła! *(wraca desperacko ku stolikowi)* Nie chciała mnie zrozumieć! Co sobie teraz o mnie pomyśli? Godzinę przedemną stała, a ja trzech słów zebrać nie mogłem, ja, co tyle mam jéj do powiedzenia! Teraz myśli hurmą mi się naciskają. Czyż było co łatwiejszego, jak wziąć ją

za rękę *(bierze pas od torby)* klęknąć przed nią, *(klęka przed stolikiem)* i powiedzieć: droga Amelko! Ja Cię kocham! Tobie serce i duszę oddałem! W Tobie szczęście i nadzieję życia położyłem! Od lat wielu nie marzę tylko o Tobie! Myśli jednej nie miałem, która nie byłaby Tobą. Tyś jest mojem życiem, szczęściem, nadzieją, wszystkiem! O błagam Cię, zaklinam, wymów to słowo, to jedno słowo, które mnie tyle szczęścia dać może, powiedz że mnie kochasz! *(porywa obydwoma rękami pas od torby i całuje go namiętnie)* A ja! *(zrywa się i ściąga torbę na ziemię)* stałem przed nią jak student! W oczy mi się roześmiała! Nie, tej hańby nie przeżyję! Zresztą nic innego mi nie pozostaje. Skompromitowałem się, okryłem przed nią śmiesznością. ona mnie już kochać nie może! Skończyło się, niech się mój los spełnia! Odbiorę sobie życie, to nędzne, stroskane, skołatane życie! Zabiję się! *(p. k. m)* Ale jak? *(chodzi zamyślony)* Pchnąć się sztyletem? To kole.—Wskoczyć do rzeki? Umiem pływać. — Topielec tak brzydko wygląda. Nie chcę. Otruć się? Arszeniku aptekarz mi nie sprzeda... mógłby dać... *(grozi z gniewem pięścią, jakby w stronę miasta)* Zastrzelić się? To mnie zeszpeci. Nie zniosłaby mego widoku —Z tego wszystkiego nic mi się nie podoba Chciałbym coś takiego, żeby mnie przyniesiono do domu bez innej oznaki śmierci, prócz bladości lica.—Głowa nieco w tył pochylona, włosy wolno w pukle spadające, jedna biała ręka z pod czarnego płaszcza opuszczona, druga na piersiach Tak byłoby dobrze. Ona wybiegłaby z płaczem, padła przy mnie na kolana i chwyciła wiszącą

rękę. Wtedy otworzyłbym zbolałą źrenicę... A nie, już nie mógłbym otworzyć oka. *(p. k. m.)* Jakżeby to zrobić? Aha? Już go mam! Zabiję się z konia, kark sobie skręcę. *(z ukontentowaniem zacierając ręce)* Tak kark sobie skręcę. To myśl przepyszna — i nowa! Nikt sobie dotąd z miłości karku nie skręcił! — Ja więc pierwszy z kochanków... Ale hola! Mogłaby myśleć, że to przypadek że źle na koniu jeździłem, napiszę do niej.—Tak będzie przynajmniej wiedziała, co we mnie traci, będzie moją pamięć kochała. *(wyrywa z pularesiku kartkę, i dobywa porte crayon, który na jednym końcu pióro, na drugim ołówek mieć powinien)* Nie, — takie rzeczy ołówkiem się nie piszą, krwią napiszę! *(szuka po wszystkich kieszeniach scyzoryka)* Gdzież u licha scyzoryk podziałem? — Otóż jest. *(dobywa i otwiera scyzoryk)* Gdzieby się tu pchnąć! *(patrzy po sobie, jak gdyby szukał miejsca do zadania sobie rany, nareszcie kiwa głową, niby już wié, odwija lewą mankietkę; półgłosem)* Żeby gdzie na żyłę nie natrafić. *(daje sobie lekkie cięcie powyżej kostki)* Aj! *(rzuca scyzoryk i chwyta się za rękę, potem jej się przypatruje)* Cóż u licha, niema krwi? Aha! już występuje, piszmy. *(zbiera ostrożnie krew piórem i pisze:)* Drogi Aniele!—Jak to piecze.—Ubóstwiona Amelko! kochałem Cię nad życie, umieram... Skrzepła. — Niech i tak będzie, to wystarczy. Tutaj znajdzie. *(kładzie kartkę na stoliku)* Mógłby wiatr zdmuchnąć. *(przyciska brzegi rożkiem)* A teraz idźmy się ubrać, tak przecie zabić się nie mogę! *(woła za kulisy na lewo w głąb)* Kasprze, osiodłaj mi konia! *(wchodzi do pawilonu).*

SCENA VII.

AMELKA *(sama).*

(Wchodzi z prawej strony bardzo niespokojna, oglądając się na wszystkie strony).

Jestem tak niespokojną, muszę go widzieć. On mówił nie do rzeczy. Może go to już minęło. Może chory. Może to tylko gorączka, przeziębienie. Gdyby się dał namówić pójść do łóżka, napić się trochę lipowego kwiatu... Niepowinnam była odejść, ale mnie taki strach ogarnął, że się dopiero w moim pokoju opamiętałam. Właściwie on w obłąkaniu nie był strasznym, z początku mówił nawet łagodnie, tylko tak, jakby go febra trzęsła. O Boże, Boże, ileż to nieszczęścia ten Kraków narobił! Co powie Ciocia, gdy się obudzi? Właśnie dzisiaj, jakby na złość śpi dłużej, niżeli kiedykolwiek. — Biedny, biedny Franio! Lecz co za powód obłąkania? Może ten poncz, — ale nie, wtedy byłby złym. chciałby się pojedynkować, a on taki był dobry. Widocznie ocierał pot z czoła, mówił że mu gorąco. Chciał się ze mną witać, miał mi coś powiedzieć. Tylko wtedy był strasznym, gdy przyskoczył do mnie i krzyknął: Śmiało, drogi Aniele! *(p. k. m)* Drogi Aniele! Wszak on to do mnie mówił; ale dlaczego śmiało? Coś mu się w głowie przewróciło. Gdyby do mnie mówił, byłby powiedział: Moja droga Amelko! A przecie. — kto wie? Powiadają, że były wypadki, iż ludzie z miłości waryowali. Ale nie, rano ani spojrzał na mnie. Ja mu tego nawet za złe miałam, zkądżeby tak raptem... Jednak jego oczy... Tak czule patrzał się na mnie... Ach, jakażby to była szkoda! *(chodzi zamyślona)* To może byłoby do

wyleczenia, żeby tylko wiedzieć... *(podnosi oczy i patrzy na lewo naprzód sceny za kulisy, jak gdyby tam coś zobaczyła)* Ha! zaraz się dowiem. *(wybiega na lewo).*

SCENA VIII.

FRANIO *(sam).*

(Wychodzi z pawilonu w kapeluszu z szerokiemi krysami, w płaszczu Almaviva; opięte białe spodnie, bóty po kolana z ostrogami, w ręku trzyma pręcik. Mówi tragicznie.)

Za parę minut wszystko się skończy. — Rozstanę się z tém życiem, w którém od kolebki do grobu nie zaznałem szczęścia. *(p. k. m)* Gdy nawet w dziecinne me lata rzucę okiem, wszędzie widzę łzy lub bolesne wspomnienia. *(wskazując na dom)* Tam nad fortepianem płakałem. *(wskazując na ławkę)* Na téj ławce... *(robi prętem znak uderzenia)* Cóż dopiero gdy doszedłem lat męzkich! Raz tylko jeden kochałem, jednéj me życie oddałem, i ta mnie wyśmiała, mną wzgardziła! Kończmy więc! Jeden skok, a będę z tamtej strony. Amaljo bywaj zdrowa! *(wychodzi dużym krokiem na lewo w głębi po za pawilon).*

SCENA IX.

JAN *(na terasie)* — AMELKA.

(JAN wychodzi z domu na terassę z samowarem. Widział Frania wychodzącego. Podczas dwóch następujących scen nakrywa do śniadania na terassie, przypatrując się z pod oka z uśmiechem Amelce i Franiowi. AMELKA *wchodzi trzymając w ręku pęk stokrótek, z których jedną powoli obskubuje. Nie widzi Jana).*

Trochę, bardzo, szalenie, wcale nie... kocha, trochę, bardzo, szalenie, wcale nie! *(rzuca sto-*

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

krótki na ziemię) Ostatnia nadzieja stracona, on mnie nie kocha, on nigdy rozumu nie odzyska! *(zakrywa sobie chustką oczy i robi parę kroków ku stolikowi, trąca nogą torbę)* Co to jest? Ten nieporządek! Tu się coś strasznego działo! *(spostrzega kartkę)* Kartka czerwonym atramentem pisana, jego pismo. *(porywa kartkę i czyta)* Drogi Aniele! — Zawsze ten sam wyraz. *(czyta z radością dalej)* Ubóstwiona Amelko! kochałem Cię nad życie, umieram! — Ach! *(spostrzega na ziemi scyzoryk, upuszcza chustkę)* Otwarty scyzoryk! On się zabił! Leży gdzieś w kłąbie bez pomocy bez ratunku! *(wybiega na przodzie na prawo).*

SCENA X.

FRANIO — JAN *(na terasie).*

(Franio wchodzi po lewej, którędy wyszedł. Bez płaszcza, w opiętym surduciku, kapelusz na głowie zmięty, cały z jednéj strony powalany, zdekoncertowany, trochę kuleje).

FRANIO.

Nie zabiłem się! — Ale kozła wywróciłem tęgiego! Na dzisiaj będzie dosyć! — Ten koń, chociaż nie anglik, ma krzyż diable mocny. — Któż byłby mógł się tego spodziewać? Skoro mi go podano, wskoczyłem na niego, spiąłem ostrogami i wprost na płot wypuściłem. Stary Kasper krzyczał za mną, lecz ja wiedziałem, co robię. W kilku susach byłem przy płocie. Dojeżdżając, jeszcze lepiéj naprzód się podaję, silniej konia pociskam, lecz on, zamiast skoczyć, zaczepić i z tamtéj strony się wywrócić, staje jak wryty. Ja sam przeleciałem. — Nic mi się nie stało. — On pobiegł paść się na koniczynę. —

O mnie nieszczęście nigdy nie opuszcza! *(zakłada ręce na piersiach i chodzi wszerz ze spuszczoną głową, spostrzega stokrótki)* Co widzę! Te stokrótki, ten ślad nóżki na piasku?.. *(idąc za śladem, znajduję chustkę)* To ona! Ona kwiatka się pytała, czy ją kocham! Amelko! droga, kochana Amelko! *(wybiega na przodzie na prawo).*

SCENA XI i ostatnia.

PANI DORSKA, JAN, AMELKA i FRANIO *(na przemian).*

(Amelka wbiega z prawej w głębi i przebiega scenę. Skoro się za kulisy schowała, Franio wbiega z przeciwnej strony trochę kulejąc, i tak parę razy w różnych kierunkach przebiegają scenę, zawsze tak żeby się widzieć, ani spotkać się nie mogli. Pani Dorska wychodzi z domu na terassę. Jan jej coś po cichu powiada, pokazując to na Amelkę to na Frania. Zatyka sobie gębę, żeby się nie śmiać. Nareszcie Amelka wbiega z lewej, Franio z prawej strony sceny).

AMELKA i FRANIO *(razem).*

Ach! *(Biegną do siebie z wyciągniętemi rękami, spotykają się na środku sceny. Franio ją chwyta za obie ręce i całuje je).*

PANI DORSKA *(z terassy)*

Janie, dawaj śniadanie!

(Franio i Amelka się rozskakują. Pani Dorska schodzi z terassy z otwartemi rękoma. Franio i Amelka po krótkiem wahaniu się biegną ku niéj. Ona jedną ręką obejmuje Frania za szyję i w czoło go całuje, Amelka chwyta ją za drugą rękę i przyklęka. Zasłona spada).

KONIEC.